

Edz. archiwalny IBL

00000 *mell*

CZWARTY LIPCA,

szkie do powieści z życia amerykańskiego.

—Napisał—

ZYGMUNT SŁUPSKI.

COPYRIGHT 1897.

DRUKIEM „PRAWDY“ 312 COLUMBUS AVE.,

BAY CITY, MICH.

1897.

mell *00000* *mell*

Czwarty Lipca,

SZKIC DO POWIEŚCI Z ŻYCIA AMERYKAŃSKIEGO.

—Napisał—

ZYGMUNT SŁUPSKI.

COPYRIGHT 1897.

DRUKIEM „PRAWDY“ 312 COLUMBUS AVENUE,
BAY CITY, MICH.
1897,



5222

Wstęp.

Niedawno wypadła mi droga koleją New York Central. Znalazłszy się w wagonie sam wśród obcych, z nudów wziąłem do ręki jakąś porzuconą gazetę. Był to „The Herald,” wychodzący w powiatowem mieście, które cotyлько minęliśmy.

Nikt tam ze znajomych nie mieszkał; nie mieszkali nawet moi rodacy: nie mogły mnie zatem interesować sprawy miejscowe; ale przeczytawszy wszystko, zacząłem w końcu i ten dział przeglądać.

A nie wiem dlaczego utkwily mi w pamięci nazwiska całkiem mi obce; chyba dlatego, że były związane z innem, które, brzmiąc jakoś z polska, zwróciło moją uwagę.

Redakcja przedewszystkiem winszowała jakiemuś panu Moon, że syn jego Fred potrójnie odniósł zwycięstwo: ukończył bowiem kurs pra-

wa, zdobył nagrodę w wyścigu cyklistów i został prezesem ich klubu. Cieszyła się przytem, że tak dzielny młodzieniec w gnieździe rodzinnem rozpoczyna praktykę adwokacką, która mu niewątpliwie świetną zapewni karierę. To tylko smutne i dziwne zarazem — dodała — że w swych matrymonialnych zamiarach trafia na opór ze strony wujaszka przesłicznej Miss Cory Ligth. Tem jednak możemy go pocieszyć, że całe miasto sympatyzuje z tą prześladowaną parą kochanków, a nie ma dość słów oburzenia na srogiego opiekuna biednej sierotki. Ale bo też istotnie jego postępowanie conajmniej zagadkowe. Wątpimy jednak, aby to miało być prawdą co niektórzy głoszą, jakoby jedynie przez chciwość odmawiał swego pozwolenia, chcąc dłużej trzymać w ręku jej posag. Jeżeli to prawda, to pan Burda kiepski polityk, boć miss Cora wkrótce się bez jego pozwolenia będzie mogła obyć, on zatem nie nacieszy się dolarami a z drugiej strony napewno straci. Cała ta bowiem nader brzydka sprawa nie mały rzuca cień na jego charakter, a o tem przecie wyborcy nie zapomną w dniu elekcji.

Nikt, co prawda, nigdy nie wątpił, że partya nie zdoła go przeprowadzić, ale to już całkiem jasne, że będzie pobity i to ogromną większością

głosów. Nikt się już nawet nie chce o niego zakładać.“

A, jestem już w domu. Jeżeli tylko o politykę chodzi, to zwykła walka przedwyborcza, nic więcej. Pewno więc ów srogi opiekun pięknej siostrzeniczki nie jest znów tak bardzo czarnym jak go malują. Osłabienie zarzutu było mi tem miłsze, że to kandydat mojej partyi, gdyż i ja zawsze ten sam „tykiet“ głosuję. Z przykrością natomiast znalazłem jeszcze jedną napaść. Redakcja znów gromy nań rzuciła za to, iż nie pozwalał siostrzenicy nie tylko nosić „bloomers“ ale nawet jeździć na bicyklu. „Trzeba przecie iść z czasem, więc taki zacofaniec mayor byłby dla miasta zgubą. Człowiek z podobnymi zasadami poprostu psułby nam „business“, musimy więc dobrze uważać, kogo wybieramy. Cóż to za dziwactwo nie pozwalać pannie na tak niewinną rozrywkę. Trzebaż było aż wpływu przyjaciół i to jeszcze za ledwie dopiero po wielu łzach panny ustąpił nareszcie. Inaczej nie miałibyśmy przyjemności podziwiania Miss Cory w czasie wczorajszej parady. Jej piękna jasna główka, jej lekko pochylona zgrabna kibić, jej wdzięk i umiętność jazdy — wszystko to ogólną zwracało uwagę. I trudno było rozstrzygnąć, co piękniejsze: czy samo koło, owo sławne „Incomparable Fortune's

wheel“, czy też siedząca na niem i jej prześliczny kostium. Warci siebie. A możemy się pochwalić, że była to maszyna w naszym „storze“ nabyta. Istne cacko! Mówiąc nawiasem, jeszcze tylko 100 takich cacek posiadamy w zapasie. Spieszcie się zatem nadobne panie, zwłaszcza iż wkrótce podwyższymy cenę, która dziś wynosi tylko 99 dolarów i 98 centów. “

Hm, to znów najzwyczajniejsze ogłoszenie i znów na koszt biednego kandydata. Trzeba jednak panu redaktorowi przyznać, że dość bezstronny, skoro umieścił taki list:

„Sz. R. Należę wprowadzić do przeciwnej partii i stanowczo jestem za p. Burdą; ale mimo to mam nadzieję, że nie odmówisz mi umieszczenia tych kilku słów obrony.

Od jakiegoś czasu w każdym niemal numerze znajduję coś przeciw p. B. On się wprowadzić z tego śmieje, choć mógłby nawet proces wytoczyć; ale ja, mniej cierpliwy, czuję się w obowiązku przypomnieć, że znamy go tu od lat 30 a nikt przecie nic złego dowieść mu nie może. Każdy wie tylko, że ciężką, uczciwą pracą jedynie zdobył sobie kawałek niezależnego chleba. Co zaś do tego, że jest przeciwny zamężciu swej siostrzenicy, to tu do rzeczy nie należy, więc mówić o tem nie będę, choć wiem, że po jego stronie

słuszność. (? p. R.) Dość nam, że posiada wszelkie warunki na mayora i nie wątpię też wcale, że nim zostanie. (Nie zostanie! p. R.)

A zresztą, jeżeli już koniecznie chodzi o jego rodzinne życie, to bodajby wszyscy takiej się tylko pociechy z dzieci doczekali, jaką on ma dziś ze swej jedynaczki.

Któż tu nie zna tej zacnej a w pracy niezmordowanej i tak wykształconej Miss Mabel? Czyż kiedy jaki biedak odszedł od niej z prózną ręką? Czyż jej nie kochają wszystkie dzieci w mieście? Wszak nawet jej głos czasem więcej u nich znaczy niż głos rodziców. Wszak nawet w przeciwnikach ojca budzi uwielbienie i podziw. Nie dość, że z dziećmi namęczy się w szkole, jeszcze ma dom na głowie, jest gospodynią i buchalterką ojca, nawet i sprzedaje sama a umie jeszcze znaleźć sobie czas na szycie, muzykę, i książkę. Przy niezwyklej delikatności uczuć, jest też niezwykle energiczną, przytomną i odważną. Niedawno przecie z narażeniem własnego życia wyrwała z toni małą swą uczennicę. Teraz znów dała nowy a jeszcze nieznanym dowód przytomności. Posłyszawszy w nocy szmer, choć nikogo z domowników nie było w pobliżu, ona ich niby to wzywa, a udając głosy, sama sobie odpowiada, objaśnia,

gdzie leży broń, jak mają atakować i t. d. Rabusi wystraszeni, tak niespodziewaną gotowością obrony, uciekli. Czyż to nie dzielna kobieta? A kto tak umiał swą córkę wykształcić, sam chyba nie może być od niej gorszym; i dlatego to tembardziej wszyscy na niego powinni głosować. Hura! Mr. Burda nasz przyszedł major!

Wm. S. Bright, M. D.“

Uściskałbym owego doktora za tę jego tak bezinteresowną obronę. Irytuje mnie tylko ale i tembardziej intryguje przypisek redakcyi:

“Trochę się domyślamy powodu, dlaczego p. Bright tak gorliwie broni swego kandydata i dlaczego przypomina dobrze wszystkim znane przymioty jego córki i t. d.”

Czegoż się to redakcyja domyśla? Cóż innego mogło go skłonić, jeżeli nie chęć obrony prawdy?

Zaczynają mnie coraz bardziej zaciekawiać te jakieś zagadkowe polityczno-miłosne powikłania. Ej, czy tylko i p. doktor nie żywi czasem jakich zamiarów względem owej Miss Mabel. Chyba że Rzadko przecie mężczyzna wychwałą kobietę dla tego tylko, że zasługuje, jeżeli to kobieta dlań ubożętna. Redakcyja więc może domyśla się nie bez zasady.

Znów tedy zaczynam przeglądać „Heralda“ w nadziei, że znajdę tam jeszcze jaką wskazówkę,

która mi ułatwi rozwiązanie tej zagadki. Nic jednakże nie znalazłem prócz ogłoszenia redaktora o sławnem „Incomparable Fortune's wheel“ i — o dziwo — także ogłoszenie oczernianego kandydata, a które brzmiało nader imponująco:

“John Burda, dealer in dry goods, notions, men's furnishings, boots and shoes, furnitures, paints, coal and wood, all kinds of groceries and provision, pictures etc. Also fire and life insurance and news paper agent and Notary public“

Ho, ho, to ten pan Burda jakiś nie byle Burda. Wygląda mi to coś na „store“ z rodzaju owych olbrzymich targowisk New Yorku i innych wielkich miast, gdzie niewychodząc za drzwi budynku można mieć zreperowane lub oczyszczone buty, można się ogolić, zjeść „ice cream“, kupić rycinowego oleju, jedwabiów, mięsa, brylantów, słowem pod jednym dachem można wszystkie swe potrzeby zaopatrzyć.

Pan Burda zatem musi być miljonerem lub krociowym a przynajmniej całą gębą kupcem. Tem mi przyjemniej, jeżeli to mój ziomek. Cieszy mnie, że Miss Mabel ma jeszcze jeden cenny przymiot, o którym widać skromny doktor zapomniał — posag. Coraz też prawdopodobniejszym wydaje mi się domysł redakcyi. Bardzo to

być może, iż o niej myśli; bo zresztą któżby nie myślał o takim ideale ze wszystkimi cnotami i posagiem w dodatku.

A może się czegoś o tem dowiem od młodzieńca, który właśnie na owej stacyi wsiadł do wagonu. Przysiadam się tedy nieznacznie. Była to szczęśliwa myśl, bo mój towarzysz widocznie był z rodzaju ludzi, co to gotowi nawet grzech śmiertelny wygadać, choćby przed obcym. Teraz mi właśnie na rękę taki gaduła, zwłaszcza iż wcale przytem rozsądny i gładki.

Zaczawszy od pogody, mówiliśmy o wielu równie interesujących rzeczach; ale że mi pilno było dowiedzieć się o moich znajomych z Heralda, przeto przy pierwszej sposobności zaczępiłem o stosunki miasta i jego mieszkańców.

— A więc pan znasz Burdę — mówię uradowany — czy to porządny człowiek?

— You bet! He is the finest man I ever met. On musi zostać naszym majorem.

Jeszcze widać z naszym kandydatem nie tak źle. Cieszy mnie to.

— A czy on w samej rzeczy tak bogaty, jak mówią? — pytam dalej.

— Cóż znowu. Kto mówi, że bogaty? Niktby za niego nie dał więcej jak 5000. A to przecież nie żadne bogactwo. Kto mógł taką bajkę powie-

dzieć?— pyta zgorszony, krzywiąc się z lekceważeniem.

Przyłapany na kłamstwie poczułem rumieniec na twarzy. Aby zaś uniknąć dalszych pytań, zagaduję:

—A czy nie wiesz pan przypadkiem jakiej on narodowości? Nazwisko zdaje się polskie.

—Nie, nie wiem. Ale w każdym razie musi to być przybysz, bo mu się jeszcze z trudnością przychodzi po angielsku wysławiać. Ale jeżeli na wet i jest polskiego pochodzenia, to go już chyba nic z dawną ojczyzną nie wiąże prócz nazwiska. On dziś życieby za Amerykę oddał.

— A córka? Podobno wychodzi za doktora Bright — kłamię dalej.

Mój towarzysz duże zrobił oczy.

Oho, znów się złapałem; bo pewno już żona ty a ja go swatam.

— To znów coś nowego —mówi zdumiony.
— Nie może być. A przynajmniej bardzo wątplię.

— Dla czego? Czyż niemożliwe?

— O, możliwe, wszystko możliwe, ale nie prawdopodobne.

— Przecież oboje młodzi, oboje wykształceni, zacni — mówię na chybił trafił. Chciałem na-

wet dodać, że i piękni, ale na szczęście w porę mi przeszkodził.

— Tak, to wszystko prawda — odpowiada — ale... Ha, zresztą różne bywają gusta. Lecz co do mnie przynajmniej, to na pewno by ludzkość całkiem zaginęła, gdyby oprócz mnie i miss Mabel nikt więcej po ziemi nie chodził.

— Czyż się panu tak nie podoba?

— A komuż się może podobać?!

O, gdybym był ślepym, to całym sercem zgoda, bo niewidząc, chciałbym jej wiecznie słuchać i nie mógłbym chyba lepszej nad nią znaleźć żony, ale ja przecie mam oczy....

— Więc ona istotnie taka brzydka?

— Mój towarzysz skrzywił się niemiłosiernie.

— Ospa ją tak zeszpeciła — mówi....

A więc jej imię Ma-bel, to tylko ironia.

Teraz już całkiem zgubiłem się w domysłach.

— Nie jest ubogą — mówię — może też doktor na jej dolary poluje?

— O "no". On nie z tego rodzaju ludzi. Gdyby tylko za pieniędzmi gonił, to mógłby może nawet Miss Lucy Wood dostać. A przecież jej ojciec to milioner.

Tu zrobił taką minę, jakby się spostrzegł, iż zawiele powiedział.

— Hm, więc któż to jest ten ów doktor gardzący milionami?— pytam, jeszcze bardziej zaciekawiony.

— Dobry „New Eglanđ stock“, ale sierota, „self made man“. Pamiętają go tu jeszcze jak gazety sprzedawał, ale i czytał je także. Uciuławszy sobie trochę grosza, zaczął studyować medycynę, najpierw tu, potem w Europie. O, to fine man.

— A więc może woli przymioty niż piękność lub posag — próbuję jeszcze, chcąc koniecznie podtrzymać domysł redakcyi, który mi się tak trafnym zdał.

— Może. Ale żeby myślał o Miss Mabel, o tem pierwsze słyszę.

— Znasz pan zapewne młodego adwokata Moon — badam.

— A naturalnie. Nie miałbym go znać. Toż to przecie mój przyjaciel. O, mów raczej, że Fred a prędzej uwierzę, bo jeżeli kto, to on chyba najprędzej może... może ożeniłby się z Miss Mabel, gdyby jej na nieszczęście Miss Cora nie weszła w drogę. Nagłe jej pojawienie się wszystkie szyki popsuło.

— Zaciekawiasz mnie pan, któż to jest ta Miss Cora?

Towarzysz mój z lekceważeniem machnął ręką, jak gdyby nie warto było o tem mówić.

— Ładny buziak — rzecze.

— I posażny — wtrącam.

— Nie całe 10,000 — przerywa mi takim tonem, jak gdyby miał miljon w kieszeni. — A zresztą, cóż znaczą same pieniądze, choćby nawet i z pięknością w parze.

Mój towarzysz zaczyna mi się coraz bardziej podobać.

Fred głupstwo robi — dodał po chwili. — Mówiłem mu to nieraz, ale któż się z zakochanym dogada. A z nimi tem trudniej przyjść do ladu, że jest przytem trochę zabobonnym i uważa ten związek za swe przeznaczenie. We śnie mu bowiem jakoby nieboszczka matka przyrzekła sama dłań żonę wybrać. I trzebaż tak nieszczęśliwego trafu, że zaraz nazajutrz po raz pierwszy spotkał u Burdy jego siostrzenicę a ztąd już ją uznaje za wybraną mu przez matkę. A naturalnie, uznaje ją tem chętniej, że chce uznać, bo go oczarowała. I w końcu nawet tak dalece w swe urojone przeznaczenie uwierzył, że się nawet nie trwoży odmową wujaszka, tak jest pewny, że go panna nie minie. Jak to czasem można w siebie coś

wmówić, bo wątpię, aby tam było jakieś głębsze przywiązanie. Namiętność go chyba zaślepiała.

— To Miss Mabel w rozpaczy?

— O, ja nie wiem... Ona zbyt trzeźwa. To tylko moje przypuszczenie, ale może tam nie było miłości tylko zwyczajna przyjaźń, przyzwyczajenie.

Burda przecie i Moon obok mnie mieszkają, Fred więc i Mabel razem wzrosli, razem się bawili, razem do szkoły chodzili i oboje tam na jednej ławie siedzieli a ona mu nawet i w nauce nieraz pomogła. Może, może, jak powiadam, byłoby co z tego, gdyby nie owa Miss Cora, ale to tylko mój własny domysł, za który nie przyjmuję żadnej odpowiedzialności. Zresztą, zawsze widywano ich razem, a ona przytem taka brzydka, że nikomu się ani śni posądzać ich o coś więcej, choć i dziś widują ich razem. A może nawet i oni sami nigdy o niczem więcej nie myśleli. Nie wiem zresztą.

— A cóż ten pan redaktor tak się tą Miss Corą opiekuje? Czy to polityka tylko?

— I business. Ale przytem podobała mu się. Podobno nawet smalił cholewki.

— Nie rozumiem. Czyż to człowiek taki szlachetny, że się nietylko nie mści na szczęśliwym rywalu ale go nawet popiera.

— To polityka. Tak mu teraz wypada. Korzystniej. A cóżby mu z zemsty przyszło? O, to „smart man”, wie że i panny by nie odzyskał i straciłby jeszcze na nieporozumieniu z Fredem. Woli być w zgodzie. Zresztą, on mały, ona zaś małych nie lubi. Nie miał więc nadziei. A przysięgam tak mu wygodniej w walce z Burdą.

A więc polityka zwyciężyła miłość.

I tak przyjemnie gawędząc, aniśmy spostrzegli jak i kiedy nasz zasapany pociąg wtoczył się pod szklany dach w Nowojorskiej stacji.

Rozstaliśmy się z zalem nieomal, jakby starzy przyjaciele, choć coprawda, nie wymieniwszy nawet swych nazwisk. Tem mniej przypuszczałem, że się jeszcze kiedyś znów spotkamy. Tymczasem w jakieś pół roku potem, idąc po Broadway, słyszę, ktoś gwizdnął za mną. Oglądam się a to mój towarzysz i zaraz z miejsca woła:

— Czy już pan wiesz, że nasz znany Burda nie żyje?

— Czy podobna? — A to smutna dla mnie nowina. I kiedyż?

-- Właśnie na krótko przed elekcją.

— A więc mayorem został przeciwnik?

— O "no". Nasza partya górą. Mr. Wood, mój ojciec wybrany.

O, więc to syn miljonera! Nie wiedziałem.

— A cóż tam teraz Fred? — pytam, nieokazując zdziwienia.

Mr. Wood Jr. machnął ręką.

— E, Fred. To choroba nieuleczalna. Właśnie jestem zaproszony na drużbę. Ha, chyba to istotnie jakieś przeznaczenie.

I kiedyż ślub?

8 lipca, w dzień urodzin jego nieboszczki matki, która go to niby wyswatała.

Ale gorąco... Uf! Wstąpmy gdzie dla ochłody.

I tak chłodząc się 'cocktail'ami', bez końca dopytuję o różne szczegóły, jakby to szło o moich krewnych a choćby tylko znajomych, gdy tymczasem ja nikogo z nich ani na oczy nie widziałem. Ale któż odgadnie jutro. Czyż biorąc do ręki owego „Heralda“, mógłbym wtedy przeczuć, że ze wszystkimi w nim wzmiankowanymi osobami nietylko się poznam ale nawet zaprzyjaźnię. A jednak tak się stało. Inaczej przecie nie mógłbym dziś dopowiedzieć końca tej polityczno miłosnej historii.

I.

Na "carpecie" rozciągnięta leży biała jedwabna materya, a na niej kilka form papierowych. Szczupła, niewielkiego wzrostu szatynka tuż na piętach przysiadła i w różny sposób próbuje formy ułożyć ale nigdy jej nie wypada, zawsze jakos kawałka brakuje. Mimo to jeszcze nie daje za przegranę, ale wciąż cierpliwie nowych szuka kombinacyj. Widać chce koniecznie na swoim postawić i materyi zaoszczędzić.

Teraz właśnie nasza krawcowa zapatrzona w swą lamigłówkę, z palcem na ustach, nucąc z cicha, medytuje jakby tu wybrnąć. Nagle wyrwał ją z tej zadumy ostry głos dzwonka. Uniosła się na kolana i szyję wyciąga, aby przez oszklone drzwi zobaczyć kto to wszedł do storu: czy obcy czy też tylko Fred i Cora wracają z wycieczki.

Wychodzi wreszcie; ale sprzedawszy funt cukru, zaraz znów do rozpoczętej roboty wraca.

Zda się jednak, że już nie o robocie teraz дума, bo widocznie jakaś roztargniona, przystanęła i to na drzwi to na okna spogląda, jakby na kogo oczekiwała.

— A to się zasiedzieli, — myśli. — Ha, mają czas. Zresztą widać, że im tam dobrze z sobą, pocóżby mieli spieszyć. Niechże używają szczęścia, a niech, a niech

I uśmiechnęła się jakoś gorzko a potem nagle, jakby się chcąc zmusić do zapomnienia o czymś lub jakąś natrętą marę odgonić, zaczyna sobie piosenkę nucić i znów do form zasiada. Ale zaledwo się pochyliła, znów ją dzwonek do stołu woła.

Tym razem Miss kupcowa już do form nie wraca, ale po drodze podniosłszy z dywanu jakiś wałęsający się skrawek papieru, wciąż jeszcze z piosenką na ustach, wychodzi bocznemi drzwiami.

Tymczasem w innym pokoju śpi na sofce Miss Cora, ubrana w swe jasno niebieskie "blommery". Rozwiane i kurzem pokryte bujne jej włosy, w nieładzie spadając, przylegają do spocznego czoła i twarzy opalonej, znużeniem rumianej.

Tuż przy niej klęczy młody przystojny brunet, także w kostiumie cyklisty. Jedną ręką ostrożnie odgarnia jej z czoła natrętne loki, drugą

zaś liściem palmowym ją chłodzi i od much bro-
ni:

Ujrawszy taki obrazek, nasza znajoma za-
trzymała się na progu zmięszana nieco, pokra-
śniała nawet.

— Ach przepraszam — mówi, cofając się —
nie wiedziałam, żeście już wrócili.

— Patrz Mabel — odzywa się Fred zachwy-
cony — patrz jaka ona teraz piękna. Biedactwo
zmęczyło się. . .

— Taki upał. . .

Tyle tylko powiedziawszy, Miss Mabel spie-
sznie wyszła. Ale już teraz nie nuci a ręka tak jej
drży, że aż papierowe formy szeleszczą.

— Mabel, moja droga Mabel — odzywa się
Fred, stając we drzwiach. Czy nie masz tam
gdzie na podorędziu kawałka jakiegoś tiulu albo
czego? Chciałbym ją od much zabezpieczyć.

Miss Mabel w milczeniu przyniosła mu ze
storu żadaną gazetę.

Za chwilę Fred wraca.

— Niech się tam trochę prześpi biedactwo
— mówi jakby do siebie, rozciągając się na dy-
wanie tuż obok Mabel, która jakoś teraz jeszcze
pilniej swoje formy dopasowuje, ale bodaj że
machinalnie tylko.

□ — Cóż to będzie? — pierwszy po chwili za-
gaduje Fred. Czy to dla siebie samej taką toa-
letę szykujesz na poniedziałek?

— Cóż znowu? Zaledwie trawą mogiła ojca porosła a ja już miałabym w jasnym wystąpić kolorze? Mam czarną suknię.

— Czarną? Szkoda.

I Fred posmutniał. Wie on zapewne a przynajmniej się domyśla przeznaczenia tej białej materii, więc nie przez ciekawość ale po prostu, aby kłopotliwe przerwać milczenie, dopytuje dalej:

— A więc dla kogóż to?

— Dla kogoś — odpowiada Mabel, nieodrywając oczu od form. Nie była to jednak chęć drażnienia się tylko, ale po prostu uniknięcia rozmowy o tem.

— Czyż nie wolno mi wiedzieć?

— E, co ci potem. To babskie sprawy.

— A może i ja baba — przekomarza się Fred, siląc się na wesołość.

— A może, troszeczkę — przytwierdza Mabel, uśmiechnąwszy się mimowoli.

— Z czegoż to wnosisz — pyta jakby dotknięty tem Fred.

— Przecież to ty sam wnosisz nie ja.

— Tak, ale ty nie zaprzeczasz.

— Boś powiedział prawie prawdę. Czy chcesz komplementów?

— A ja wiem dla kogo ta suknia, odwraca Fred.

— Wiesz a pytasz.

I znów zamilkli. Jakoś im się dziś nie klei; co chwila wątek urywa. Fred widocznie nie swój; pewno mu tak w głowie owa czarna suknia utkwiała. Mabel również nie w humorze. Fred zapatrzony na jej ręce pograżył się w zadumie a wreszcie raptem, jakby się budząc, mówi:

— Jakaś ty dobra, Mabel. Byłbym najszczęśliwszym, gdyby moja Cora choć w połowie była taką.

— Kiedyście wrócili? Nic nie słyszałam — zagaduje Mabel, jak gdyby jej przykrość sprawlały te słowa i chciała ich uniknąć.

— Cora wróciła wpierw. Już ją zastałem śpiącą. Zatrzymałem się po drodze, aby zamówić na jutro "fire works".

— Ach nieszczęście moje — westchnęła Mabel. — Jestem Amerykanką i pewno nie mniej drogą mi ta pamiątka; ale na ten jeden dzień w roku, chciałabym choć na księżyc uciec przed tą bezustanną pukanią i zaduchem.

— Prawda, ty nie lubisz...

— Alboż ty istotnie znajdujesz w tem jaką przyjemność?

No nie, ale żądała...

— A pan narzeczony zaraz żądanie spełnił. Masz słuszność, żeś trochę baba. Fred, ja ci mówię, bądź ty mężczyzną, bo to jeszcze dziecko,

dobrze może ale dziecko jeszcze i trochę kapryśne przytem. Jeżeli tak dalej będziesz ślepo szedł za jej wolą jak dotychczas, to możecie zejść za daleko, a ja, ja bardzo pragnę, abyście oboje byli szczęśliwi. Wierz mi, Fred.

— Czyżem ci kiedy nie wierzył? Zresztą ja sam to czuję i nieraz przyrzekam sobie inaczej z nią postępować, ale...

— Ale nie mogę — dokończyła Mabel z uśmiechem — i tylko tak długo dotrzymuję przyrzeczenia, dopóki znów nie spojrzysz i znów czegoś nie zażąda.

— Tak, tak masz słusność, mozem trochę dla niej zasłaby, ale bo i któż byłby się w stanie oprzeć takiemu stworzeniu. Zresztą, niech będzie co mi przeznaczono. Wierz, Mabel, — dodał, jakby mu się już zadługą ta lekcya wydała — bardzośmy oboje żalowali, że ciebie tam z nami nie było.

— Mów prawdę, Fred. Nie żalowaliście wcale, bo zakochanym najmilej sam na sam.

Fred trochę pokraśniał i nawet nie usiłując zaprzeczać ciągnie dalej swoje.

— Jednak szkoda, że nie chcesz na bicyklu jeździć. Jeździlibyśmy razem we troje. I dla czegoż to nie chcesz? Czy także sądzisz, że kobiecie brzydko albo że źle na jej zdrowie wpływa?

— Wcale tego nie sędzę ani podzielam oburzenia przeciwników.

— A jednak przecie i sama nie pochwalasz kobiet jeżdżących.

— Tak, ale jedynie dla tego, że jeszcze inni ich nie pochwalają. Każdy przecież, a szczególnie też kobieta, musi się z opinią liczyć. Jeżeli jej zdolna urągać w jednym razie, zdolna też lekceważyć zawsze.

— Sędzisz więc, że powinien Corze zabronić?

— Co do was nic nie sędzę, a przynajmniej nic nie mówię. Twoja to rzecz; nie chcę się między was wtrącać. Nadmieniałam ci tylko w ogóle, że to jeszcze dziecko, które prowadzić trzeba, a ty zamiast być jej przewodnikiem, jesteś sam przez nią prowadzony.

Tu Miss Mabel znów musiała na chwilę wyjść do storu. Fred tymczasem pogwizdując sobie w takt zegara tik-takującego na "mantle-piece", bezmyślnie przesuwiał formy.

— Popsujesz mi, psotniku — woła już ode drzwi, wracająca Miss Mabel.

— Wcale nie. Patrz, od razu dobrze mi wypadło, a tyś się tak długo męczyła.

— O, w ten sposób to żadna sztuka: Każdyby to potrafił. Ten kawałek musi iść do góry.

— A więc czekaj, pomogę ci... Zobaczysz, że we dwoje...

— Obędzie się. Już ja sama dam sobie radę. To nie rzecz mężczyzny.

— Nie chcesz? Dobrze. Tem lepiej. Nawet wcale się nie dotknę, bo ty masz szczęśliwą rękę a kto wie czy nasze ręce razem....

— Nie bądźże zabobonnym, Fred. A resztą, z kąd wiesz o własnościach mej ręki? Jeszczem przecież dla żadnej nie szyła sukni do ślubu. Ta pierwsza.

— Czy wiesz Mabel o czem teraz myślę? Zgadnij.

— Na pewno zgodnę.

— A więc o czem?

— Że ja nie zgodnę.

— Prawda. Ale bez żartów: o czem? A to widzisz o tem iż z duszy serca pragnę, abyś jak najprędzej i dla siebie taką suknię uszyła.

Miss Mabel pokraśniała.

— Ja nigdy za mąż nie wyjdę — mówi, a zauważywszy przelotny uśmiech na ustach Freda, wstaje i powtarza z naciskiem. — Mówię, że nigdy. To znaczy nigdy. To nie czczy ślub pańieński to stanowcze postanowienie. Zrozumiałam twój uśmiech. Sądzisz, że dla mnie takie postanowienia zbyteczne.



— Ależ nie, — chce się usprawiedliwić
zmieszany Fred.

— O nie tłumacz się, ja przecież sama wiem
żem brzydka. A jednak, jednak, mówię ci, postano-
wienie takie wcale nie zbyteczne. Wiedz bowiem,
że mł się już doktor po trzykroć oświadczał i je-
szcze nie traci nadziei, choćem mu stanowczo od-
mówiła.

Fred aż się zerwał.

— Co? Willy? Willy się tobie oświadczył? I
tyś go odrzuciła?

— Tak.

— Ależ to szaleństwo. Takiego człowieka,
takiego jak on odrzucić...

— Ja nigdy za mąż nie wyjdę.

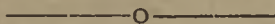
— A niceś mi o tem nigdy nie wspomnia-
ła.

— Bo nie był to mój ale jego sekret.
Wprawdzie nie zastrzegł go sobie, ale pocóż
miałam mu robić przykrość. Nie pragnę takiej chlu-
by kosztem cudzym. Ja chciałabym być "new wo-
men" ale to znaczy lepszą, a nie plotkarką starej
mody. Jeżeli ci teraz wspominam, to we własnej
obronie.

— Ależ to niespodzianka prawdziwa. Filut
doktor, cicha woda, przyczał się. Któżby go o to
posądził. Zawsze taki spokojny.

— Cóż chcesz, każdy ma zaraz tak nadska-kiwać jak ty swojej.

Ten ostatni wyraz z jakimś dziwnym naciskiem wymówiła. Czuć tam było niby tłumioną gorycz czy żal.



II.

Na szczęście uwagi tej nie słyszała Miss Cora, która w tejże chwili z impetem wpadła do pokoju.

Natychmiast zrobiło się gwarno. Cora wprawdzie chichotka, więcej się śmieje niż mówi, a więcej mówi niż myśli, mimo to i Fred się przy niej zaraz ożywił, choć nie na długo.

— Ha, ha, ha, Mabel — szczebioce Cora, przeciągając się — nie masz tam czego w “ice boxie”? Zachciało mi się jeść.

— Dobra nowina. Jest kawa gorąca. Nalej sobie.

— Ach, kawa... Ach jakbym ja teraz zjadła "ice cream"!... O nie, nie.... Nie przynos, Fred, nie jadłabym wcale.... a, za nic w świecie. Nie przynos — powtarza, choć to zbytuczne, bo Fred jakoś się nie kwapi z wyjściem. — Wolę kawę. Dobrze, wypiję kawy. Ha ha ha... A "pie" jest? A jest. To dobrze.

Ale stawiając pełną filizankę, rozlała.

— Ha ha ha! jak się ten stół kiwa. Kulawy. Trzeba mu nogę przyprawić. Ha ha ha.

I porwawszy jakąś książkę, podłożyła ją.

— Ha ha ha! patentowane lekarstwo. Skutek niezawodny. "No cure, no pay". To mój własny wynalazek. Ha ha ha! Teraz już biedny pacjent obuty w literaturę, będzie nogą myślał — oznajmia Cora, zasiadając do swej kawy.

Mabel znacząco spojrziała na Freda.

— A może i ty się napijesz? — zapytuje.

— Ach prawda, tak — podchwytuje trochę zawstydzona Cora — może i ty się napijesz?

Mabel znów rzuciła na niego okiem. Widać zrozumiał, bo odmawia.

— Ale wypijesz, — nalega teraz Cora — Wypij. No ze mną razem. Nie? Przecie choć tro-

chę. Nawet ani trochy? Choć łyżeczkę. No chociaż łyżeczkę. Tylko tę jedną łyżeczkę, nie więcej. Musisz.

I już z pełną łyżeczką wyciągnąwszy doń rękę, czeka.

Fred wprawdzie niechętnie ale połknął w końcu.

— Ha ha ha! Jak ptaszek. Tak ładnie. No jeszcze jedną.

— Nie nie, już dosyć — wykręca się biedak a na Mabel miłosiernie spogląda. W końcu nawet zdobył się na tyle odwagi, że stanowczo odmawia.

— Ależ nie bądź dzieckiem. Mówię, że nie. To znaczy „nie“ — dodał, naśladując Mabel. — Pij sama.

— Nie chcesz pić? Kiedy nie to nie. Ale wiesz co, przynajmniej zagraj nam jakiś kawałek. Ach tak, tak, zagraj. Wybornie, ha ha ha! Ty będziesz grał, a ja będę piła. Ha ha ha! No więc grajże, mówię, mój drogi — nalega. — Graj.

— To ty nam lepiej coś po kawie zagraj na swej mandolinie.

— Ach nie, za nic w świecie. Dajżeż mi teraz pokój z mandoliną. Wolę słuchać. Ja tak lubię słuchać. A więc graj.

Fred nie wie co zrobić. Już wcale na Mabel nie patrzy, jakby się bał z jej okiem spotkać, ale się jeszcze wymawia.

— Nie mam teraz ochoty....

— To i ja też nie będę pila, jeżeli nie zagrasz. Graj.

Fred ruszył ramionami, zdradzając już zniecierpliwienie.

— Wiesz co, Cora — mówi — jestem teraz w takim nastroju, że mógłbym ci chyba tylko marsza żałobnego zagrać, nic więcej.

— Cóż znowu... Ale dobrze. Graj co chcesz, żałobne nie żałobne, byleś grał.

— Dobrze więc. Skoro ci to koniecznie do apetytu potrzebne, zagram.

I otwiera fortepian. Załedwie jednak dopiero kilka uderzył akordów Chopinowskiego marsza, kiedy Cora, tłumiąc śmiech, robi z nitki pętlicę i jak sidło kładzie obok niego. Ale jeszcze tym figlem nie zadowolona, cichaczem się skrada i zdjętą z szyi wstążeczką, przywiązuje mu nogę do krzesła. Fred, udając że o niczem nie wie, gra dalej; ona zaś, wróciwszy do swej kawy i "pie'a", zanosí się od śmiechu, choć jej nikt nie wtóruje. Mabel nawet bardziej nie swoja i rozdrażniona; widocznie razi ją taka niezgodność z nastrojem marsza. A w dodatku jeszcze, jakby dla zwiększenia tego diskordu, raptem z ulicy dolatuje syczenie a potem huk.

Mabel aż drgnęła. Cora zaś częprędzej się zrywa i do okna biegnie. Zdążyła jeszcze zobaczyć spadający już ku ziemi różnokolorowy ognisty deszcz rakiety.

-- Patrz, patrz, Fred — woła uradowana. O, o, znów!.. Ach jak pięknie! Patrz tylko. Ach dajżeż teraz pokój z tą muzyką. Chodź no, chodź, mój drogi.

Ale Fred taki teraz zagrany, że ani się myśli ruszyć. Zniecierpliwiona więc i zagniewana nań Cora, mruknęła jakby do siebie: "Poczekaj, zobaczymy". I porwawszy owo sidło niciane, zarzuca mu je niby lasso na szyję i tak złapanego, jak niewolnika, wśród śmiechu do okna ciągnie.

Fred udaje opór a idzie wlokąc za sobą przywiązane do nogi krzesło.

— Musisz, musisz... A widzisz, że musisz... Nie zerwiesz tego — cieszy się Cora jak dziecko.

— Nie, nie zerwę tych kajdan, nie mogę...

I znów zasyczała rakietą. Cora już zapomina o kajdanach.

Teraz oboje wyglądają oknem. Fred patrzy przed siebie obojętnie, nawet jakby roztargniony; ale za to Cora z wielkiem zajęciem przygląda się chłopom jak rozpalają ognika lub rzucają pe-tardy, które w różne strony skacząc po bruku,

trzeszczą im pod nogami i skry w okół sypią jakby żelazo pod młotem kowala. A od czasu do czasu też, coraz już częściej zaczynają się więc i krzyżować po niebie syczące węże rakiet. Pękną, rosypią się w różnobarwny snop ognia i zjawisko niknie a dymiące szczątki spadają gdzieś na dachy domostw.

Już w oddali słyhać dzwon pożarnej straży, ale to nie przerywa dzieciom patryotycznej ich zabawy, ani też Corze nie psuje humoru.

— Ach prawda — przypominało się jej nagle. — A cóż z naszymi? Czyś kupił? Może już przynieśli? O pewno już przynieśli. Skocz prędko, mój drogi, skocz, dowiedz się. Będziemy puszczać, ha ha ha, będziemy puszczać. Skocz, skocz. No ja proszę, ja tak ładnie proszę. Mój panie Fred, bądź pan łaskaw, uczyni to dla swej narzeczonej, która... która za to... ładnie podziękuje...

Niebyłoby rady. Fred wprawdzie pod okiem Mabel waha się jeszcze, widząc że jej tem przykrość sprawi, ale któżby się zdołał oprzeć. Choć więc pokraśniał i spojrzeć nie śmie, jednak idzie, a co więcej, że niebawem sam nawet całą skrzynię tych tak upragnionych rozkoszy przynosi.

Miss Cora teraz w siódmym niebie. Jakby salamandra lubi szczególniej stawać wśród snopów iskier petardy, — bo też istotnie dziwnie

wtedy piękna. Ale nie mniej też sprawia jej uciechy, gdy się z jej dłoni wysunie wąż ognisty. W dodatku dziwne ma jakieś upodobanie puścić je w stronę poblizkiego domu doktora; a wielce wtedy z siebie zadowolona, gdy dymiące szczątki na jego dach spadną.

I do późnej nocy bawiła się tak szczerze, iż nazajutrz, i to zaraz z samego rana, Fred musiał nowy zapas sprowadzić.



III.

Biedna Mabel, radaby choć na farmę do znajomych uciec ale jakże Corę i dom zostawi; zwłaszcza w takim dniu, kiedy o wypadek najłatwiej. Kazała więc tylko wóz z ulicy sprzątnąć, a by dzieciom przypadkiem nie przyszła ochota zaciągnąć go na ogień (jak to czasem robią, zwłaszcza w braku próżnych skrzyń i beczek); a potem zamknąwszy store, poszła na górę do swego pokoju. Ale i tam nie była wolną, bo i tam ją huk i zaduch ścigał wciskając się do wnętrza, mimo szyb i okienic. Jeszcze ją bardziej głowa rozbolała a przytem jakiś niepokój wciąż dręczy. Bierze książkę ale nie podobna myśli zebrać. Coś jakby ją podrywało; ani usiedzieć na miejscu. A kiedy na koniec już po raz trzeci doleciał ją przykry

odgłos dzwonu ambulansu, tego już było dla niej zawiele. Zeszła więc do ogrodu, aby choć widzieć co się tam teraz na świecie dzieje. A widocznie jakieś chyba przeczucie ją wiodło, bo ledwo na progu stanąwszy, okiem na Corę rzuciła, widzi przerażona, że nierozważany roztrzepaniec trzyma w ręku samą zapaloną już rakieta, zamiast za pręcik.

— Rzuć! — krzyknęła tylko i głos jej w pierci zamarł.

Ale Cora czy nie słyszała czy też nie pojęła o co chodzi, ze śmiechem wciąż rakieta w powietrzu kręci.

Fred właśnie zajęty był rozwiązywaniem nowej paczki, kiedy go doleciał wykrzyk Mabel. Obejrzawszy się, od razu pojął niebezpieczeństwo grożące ukochanej. Już więc nie wołając w oka mgnieniu skoczył tylko i wyrwał jej z ręki owego straszego węża. Ale na nieszczęście w tejże samej chwili ów wąż mu w dłoni pęka, a biedny zbawca za twarz się tylko chwycił i u stóp osłupiałej Cory pada.

Z krzykiem zaraz mu na ratunek biegnie przerażona Mabel a przede wszystkim własną gołą dłonią ugasiwszy palące się już na nim ubranie, woła: Wody! Prędzej! Przynieś wody!

Ale drżąca ze strachu Cora milczy i ani drgnie; Mabel więc zrywa się sama, ale już nie po

wodę lecz wprost na ulicę wybiega. Cora tymczasem pada zemdlona tuż obok Freda.

Na szczęście doktor był jeszcze w domu. A za chwilę byłoby już zapóźno, bo i on właśnie wybierał się do publicznego parku, aby tam zobaczyć sztuczne ognie co rok kosztem miasta urządzone. Posłyszawszy jednak gwałtowne dzwonienie i walenie do drzwi, wybiega bez kamizelki nawet i ze sterczącym jeszcze, dopiero z tyłu przypiętym, kołnierzykiem. Widząc przed sobą Mabel bladą i z przestachu drżącą, już nie tracąc czasu na grzeczności, wprost pyta: Czy wypadek?

— Fred ranny. Chodź pan.

Doktor już nie wraca dla dokończenia toalety, ale natychmiast, jak stał, pędzi ratować przyjaciela.

Cora jeszcze też do zmysłów nie wróciła, trzeba więc było jednocześnie zająć się obojgiem.

IV.

W kilka dni później, chory leżał w gorączce. Dr. Bright sam mu własnoręcznie zmienia opatrunek, jedynie przy pomocy Mabel, która albo naczynie z wodą podtrzymuje, albo narzędzia, bandaże podaje. Cora natomiast, jakaś zaduma-

na, w milczeniu żując swoją "chew gum", zdala, spokojnie się tej czynności przygląda.

Skończyli wreszcie. Fred, cały spowity, leży teraz podobniejszy raczej do mumji niż żyjącego człowieka.

Bright ręce umywa. Mabel, trzymając mu miednicę i ręcznik, zapytuje: Jakże doktor sądzisz? Czy zatelegrafować po ojca?

— To jeszcze o niczem nie wie?

— Pojechał w nadziei ładnego zarobku, nie chciałam więc od businessu go odrywać ani też bez potrzeby trwożyć. Ale jeżeli jest niebezpieczeństwo... Jak doktor sądzisz? — dopytuje z widocznym niepokojem. — Czy jest?

Doktor chwilę milczy, jak gdyby się wahał lub namyślał co odpowiedzieć; a Mabel badawczo mu w oczy patrząc, radaby wyrok z nich wyczytać.

— Więc jest niebezpieczeństwo? — powtarza.

— Nie mogę powiedzieć, że go wcale nie ma — rzecze doktor chwiejnie — ale silny, zdrow, może przetrzyma... I nie wątpię że...

— Doktorze, mów całą prawdę, bez ogródki — nastaje Mabel, a wargi jej drżą.

— Mówię prawdę. Zawsze jednak na wszelki wypadek lepiej wezwać ojca.

— A więc to znaczy: nie ma ratunku — jęknęła Mabel.

— Ale cóż znowu. Wprawdzie powierzchwnia rany zbyt wielka, lecz gdyby ją pokryć cudzą skórą...

— Jakto. Czy sądzisz doktorze, że to by co pomogło? — szybko podchwytuje.

— I bardzo nawet. W takich wypadkach zawsze z najlepszym skutkiem ten sposób praktykujemy, ile tylko razy znajdzie się ktoś zdrów i na tyle odważny, że poświęci albo za pieniądze pozwoli sobie odpowiednią ilość wyciąć.

— Ach, wiesz — wrywa się Cora — może by to uczynił ten biedny murzyn Washington. Zapłacić mu.

— Wstydź się — zgromiła ją krótko Mabel.

— Cóż ja tak złego powiedziałam, — usprawiedliwia się Cora. Czyż to co szkodzi kolor? Przecież to pewno na pierś tylko a nie na twarz. Czy i na twarz?

— Fred jeszcze ma przyjaciół, zdolnych dla niego znieść trochę bólu, gdy chodzi o życie. Czy to zaraz, doktorze?

— Nie koniecznie natychmiast, ale im prędzej tem lepiej.

— A więc kraj. Jestem gotową.

Doktor aż się cofnął.

— Jakto? pani, pani sama? Ależ to bolesne.

— Nie pytaj, ale bierz pan ile potrzeba.

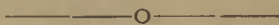
Doktor zamilkł; a tak na nią patrzy, jak gdyby chciał głębi jej serca przeniknąć.

— Nie wiem doprawdy — rzekł w końcu — co więcej podziwiać: czy anielską dobroć pani, czy też przyjaźń, zdolną aż do takiej ofiary.

— To żadna ofiara.

— O tyle bardziej godna tej nazwy że jej pani nie cenisz; bo tylko prawdziwa przyjaźń, więcej niż przyjaźń, nie czuje ciężaru poświęcenia. To też kto wie czy nie wolałbym teraz być w miejscu Freda.

Mabel pokraśniała.



V.

W miesiąc po tem, Bright, po zwykłej codziennej wizycie u chorego, wracał do domu; Cora zabiega mu w ogródku i zaczepia.

— Doktorze, ja chciałabym wiedzieć prawdę... Cchciałabym prosić — płące się zakłopotana. — Powiedz mi pan szczerze... bo ja, widzi doktor, boję się... powiedz mi pan... czy, czy nie ma już niebezpieczeństwa — wykrztusiła nareszcie ale-ciszej i spuszcżając oczy.

Bright uśmiechnął się.

— Chyba chcesz pani zapytać: czy bardzo będzie szpetny?

— Ach nie, nie, bynajmniej, wcale nie o to mi chodzi — szybko zaprzecza Miss, cała w pąsach. — Boję się tylko o, o... rękę — dodała z wahaniem.

— No tak, boisz się pani o swoją rękę.

Czy nie?

— Ależ nie, nie. . . O jego. . .

— O, jeżeli tylko o jego rękę chodzi, to mogę panią zapewnić, że nie utraci w niej władzy. Czy jesteś już pani zaspokojoną?

— Tak — odpowiedziała ledwo dołyszczanym głosem.

— I to już wszystko, coś pani chciała wiedzieć? — dopytuje Bright z uśmiechem — Jesteś pani tego pewną? wszystko?

— Tak — wyszeptała nareszcie.

— Czyż podobna? — ciągnie okrutny doktor. — A więc jego twarz nic nie obchodzi? Ani trochę?

Cora jak na rozżarzonych węglach stoi, nie ma, drżąca, a doktor, udając że wierzy, prawi dalej:

— To bardzo pięknie. . . skoro pani nie zapominasz, że to w jej obronie padł ofiarą. Inaczej pani sama byłabyś tak zeszpeconą jak on zapewne będzie.

Po tej rozmowie, a raczej po tych torturach, Cora zamknąwszy się w swym pokoiku, głośnie wybuchnęła płaczem. Już tego dnia wcale się nie pokazała. Nawet siostrze, wzywającej ją do stołu, tylko przez drzwi odpowiedziała że dziękuje, zapewniając przy tem że nic jej nie jest i nic nie potrzebuje.



VI.

Miss Mabel, postanowiwszy teraz wyłącznie poświęcić się nauczycielstwu, chętnie, przy pierwszej sposobności, sprzedała swój store, niedawno w mieście osiadłej wdowie, Mrs. Head, matce przystojnego syna. A mówiąc nawiasem, ten przystojny jej Joe, to sławny ze swych zwycięstw jeździec i "base ball captain", któremu już nawet miejsca na piersi brakło do zawieszania medali i różnych "badge'ów"; a z opisów i portretów w gazetach znano go szoroko, jeżeli nie w całym stanie to przynajmniej w całym powiecie. Otóż ten tak popularny człowiek, zaraz na wstępie wybrany został prezesem "American wheelmen's club"; a to na miejsce Freda, który z tej godności zrezygnował, pomimo że Cora bardzo mu to odradzała.

Mabel, pozbywszy się storu, może teraz więcej poświęcać czasu choremu, który już jest rekonwalescentem raczej niż chorym. Wprawdzie rękę jeszcze na temblaku nosi a twarz ma plastrami okrytą, ale wolno mu już nawet po ogródku się przechadzać. Teraz właśnie z nudów polewa trawniki; ale co chwila ogląda się niespokojny, jakgdyby na kogo oczekiwał.

— A, jesteście nareszcie! — rzekł do wchodzącej Mabel, kładąc gumowego węża na trawie. — Myślałem, że cię już chyba wcale dziś nie zobaczę.

— Czyż ja naprawdę tak długo siedziałam? odparła z uśmiechem, siadając na ławeczce.

— Chyba z rok.

— Nie było dyrektora, musiałam czekać. Ach jakież upała.

— Czy chcesz odnowić kontrakt na rok przyszły? Mabel, nie czyń tego.

— Dla czego? A cóżbym robiła?

— To przynajmniej nie przyjmuj warunku.

— Jakiego warunku?

— Że, że przed upływem terminu nie wyjdiesz za mąż — objaśnił ciszej.

Mabel już i tak od gorąca i zmęczenia rumiana, jeszcze bardziej splonęła.

— To przepis ogólny — mówi — dla żadnej wyjątku nie zrobią.

— Dla ciebie zrobią, wszystko zrobią, byle cię tylko dostać.

— A zresztą, nic mi na tem nie zależy. Już ci powiedziałam, że nigdy za mąż nie wyjdę. Jakże się dziś czujesz? Lepiej? — dodała, chcąc zmienić pewno niemily jej przedmiot rozmowy.

— Zupełnie dobrze, a to tylko dzięki tobie, tobie. . .

— Nie mówmy o tem.

— Owszem, przeciwnie, mówmy. Musimy się przecie raz nareszcie obliczyć. Ach, ileż to ja tobie jestem dłużny! Jeżeli jest we mnie coś dobrego, to tylko tobie, wszystko tytkom tobie winien.

— Cóż znowu.

— Nie zaprzeczaj. Ty to wiesz sama i ja te raz widzę, że od dawna tkwi we mnie cząstka twojej duszy, twojego ja. Od dzieciństwa, co dzień, co chwila, z każdym twojem słowem, z każdym spojrzeniem twojem, jakaś jej kropelka spływała do mojej, czyniąc ją lepszą, doskonalszą. A teraz w dodatku zabrałem ci jeszcze i czątkę jej ziemskiej powłoki. Ach, czem ja się za to wszystko wyplacę.

— O czym ty mówisz?

— Nie wypieraj się, nie udawaj, bo wiem już wszystko. Byłem w gorączce ale już wien komum życie winien. Wyście oboje, śmierci mnie z rąk wydarli. Tak, tak, wiem, Willy dał trochę i ty trochę. Ach, czemżeż ja się wam za tyle poświęcenia wyplacę.

— Tem — przerwała mu z uśmiechem Mabel, — jeżeli zaczniesz mówić o czymś innem, niewspominając o tych drobnostkach. Nie warto.

— Nie warto? — powtórzył zgorzony, wpadając w zapał. — A cóż dziś może mieć dla mnie większą cenę nad wasze pocziwe serca. Czy ty wiesz Mabel, że mi już teraz nie wystarcza ta cząstka twej duszy i twego ciała. Nie, nie! Ja pragnę, ja muszę posiąść wszystko, wszystko! bo jużbym chyba nie umiał żyć bez ciebie.

I wychodząc z siebie, porwał ją za rękę.

Mabel na całym ciele drżała a pot wystąpił na czoło. Od uderzeń serca aż, na piersi wiszący złoty medal — odznaczenie z "college" — poruszał się jakby żywy, migocząc w słońcu. Cóż jej głos zatamowało; w milczeniu jednak rękę swą lekko z jego dłoni wysuwa.

— O nie cofaj ręki, bo ona już moja, musi być moją. Powiedziałaś mi przecie sama: Fred, bądź mężczyzną. Otóż jestem teraz mężczyzną i zdobędę ją. Tylko nie opieraj się dłużej sercu, bo wiem już że i ty mnie kochasz oddawna. Byłem ślepy, ślepy i głupi, żem tego wcześniej nie widział a tyś była zbyt dumną, aby mi dać poznać. . .

Mabel porwała się z miejsca.

— Przestań, Fred — rzekła, twarz w dłoniach ukrywając. — To już daremne. Dziś zapóźno. Nie chcę szczęścia budować na cudzych zgliszczach.

— Nie Mabel, to nie na cudzych zgliszczach, nie na cudzym ale je na własnym i trwałym fundamencie zbudujemy — wybuchnął rozgorączkowany Fred, i chwyciwszy ją za rękę, przyciągnął ku sobie na ławeczkę już bez oporu z jej strony. — Nie mów „zapóźno“. Nie, jeszcze nie zapóźno. Jam wolny. Dziś mnie już nic z nią nie wiąże prócz tego — dodał, wskazując na pierścionek. — A to ja w każdym razie zwrócę, bo anim ja dla niej ani ona dla mnie. Oboje bylibyśmy ze sobą

nieszczęśliwi. Ojciec twój miał rację, dalej patrzył.

— Tak, i ja żałowałam was obojga, ale, ale... wypadło milczyć. To sobie nawet wyrzuciłam, żem ci wtedy, pamiętasz, zwróciła uwagę, abyś mniej był powolnym. Bałam się, że to może tylko uprzedzenie moje... bo to tak trudno być bezstronną...

— Nie, nie, nie myliłaś się. Zresztą, czemuż wyście mogli a ona nie mogła nawet okazać chęci poświęcenia za moje życie ani cząstki siebie a jakżeby mogła poświęcić mi się cała, duszą i ciałem. Ja zaś chcę wszystko albo nic, a teraz już, co prawda, wolę nic niż wszystko. Tak, Mabel — dodał z uśmiechem, żartując, pewny już siebie, bo Mabel jakoś już ręki nie cofa. — tak, tak, wszystko albo nic. A więc i ty, albo zabieraj sobie to, coś mi już dała albo też oddaj mi i resztę. Jedno z dwojga. A więc?... Patrz, już nie ma, jużem wolny — dodał, zdjawszy pierścionek z palca. — Zobaczysz z jaką radością przyjmie tę nowinę, gdy jej powiem, że ja sam zrywam ten ostatni łącznik. Ona przecież na to tylko czeka. Wyraźnie czytam w jej oczach, że jedynie wstyd jeszcze ją trochę powstrzymuje od cofnięcia słowa. A więc tak, Mabel moja, oddaj mi i resztę, nie sprzeciwiaj się przeznaczeniu. Matka mi przecież ciebie wybrała, ciebie. Jam jej tylko nie zrozumiał wówczas. I trzebaż było dopiero aż tak strasznej kary, takiego wstrząśnienia, aby szaleńcowi zmysły

przywrócić. A nie żałuję, wierz mi, wcale nie żałuję że się tak stało. Owszem, błogosławię ten wypadek, bo on mi dopiero oczy otworzył. Inaczej kto wie co by było. To szczęście w nieszczęściu. Prawda, że teraz będę pewno straszny jak samo piekło. . .

— Ach co tam — przerwała mu Mabel — Mniejsza o piękność. To rzecz podrzędna.

Fred się mimowoli uśmiechnął. — Zapewne; masz słusność — mówi, wpadając w coraz lepszy humor — Teraz i ja, we własnym interesie, będę również przymuszony z zasady tak mówić. Ach przebac — dodał, spostrzegłszy się i widząc rumieniec na jej twarzy — nie chciałem cię dotknąć.

Mabel, widząc jego zakłopotanie, także się uśmiechnęła i uspakaja go.

— Wcale mnie też nie dotknąłeś. Przecież wiem sama, że m brzydka. A zresztą . . .

— A zresztą, tyś jeszcze teraz brzydszy, chciałaś dodać — dokończył za nią. — Masz słusność. Ale to właśnie całe moje szczęście, że się nasze szanse zrównały. Za cenę brzydoty zdobyłem przyszłość i wiem przynajmniej kto jest moim prawdziwym przyjacielem. — A to przecież więcej warto niż piękność.

ZAKOŃCZENIE.

W parę miesięcy później, dr. Bright prowadził do ołtarza przyszłą małżonkę szczęśliwszego niż on pacyenta; Billy Wood jun. prowadził Miss Corę, jako druchnę.

Miss Mabel ubraną była już nie czarno ale w tę samą białą, niegdyś dla siostry przeznaczoną suknię. W zamian jednakże Mrs. Fred Moon, tą samą swoją szczęśliwą ręką, uszyła jej inną, jeszcze piękniejszą niż tamta. Tym razem żadnego nie było kłopotu z formami; tym razem też suknia nie minęła swego przeznaczenia. Już bowiem podczas jesiennej, przez Heralda urządzonej parady cyklistów, dawna Miss Cora Light, w całej swej gloryi wystąpiła jako Mrs. Joe Head. Szkoda tylko, że deszcz ulewny popsuł jej złoty humor. Odzyskała go jednak dowiedziawszy się o przyznaniu jej nagrody Heralda. Pan redaktor sam, własnoręcznie przypiął jej do piersi srebrnego kupidynka; a na zajutrz piękny napisał artykuł o tem, jak to piękna pani prezesowa pięknie jadąc na czele obok szczęśliwego małżonka, wszystkich zachwyciła swą urodą i jazdą. Ale znów biedak był w kłopotcie, co więcej podziwiać: czy ją samą i bloomery, czy też maszynę, owo „Niezrównane sławne koło Fortuny“. A naturalnie i tym razem nie zapomniał też dodać, że ma jeszcze tylko 100 takich cacek na składzie; że obecnie kosztują tylko 99 dol. 98 cen.; i że należy się zatem spieszyć, bo wkrótce ta cena będzie

podwyższoną. Przyjdźcie tylko z dobrą wolą i trochę pieniędzy a resztę my już załatwimy — dodał na zakończenie.

Wśród spektatorów zauważono też i doktora Brighta w towarzystwie całej rodziny nowoobranego mayora. Ale dzień ten smutno się zaznaczył w ich pamięci. Miss Lucy bowiem z przeziębienia umarła, pomimo nadzwyczajnych starań przyjaciela domu.

Tak więc nieszczęśliwy w miłości doktor, jeszcze jest kawalerem i znacznie podstarzał; nie słyhać też aby miał jakie zamiary, choć widocznie lubi dzieci, bo często się bawi z małym Tadd, klientem Freda. Uszczęśliwiony ojciec, widząc jak grają w konia, nieraz wtedy żartem wspomina, że Cora miała być Moon Light [światło księżyc] ale kogut zapiał i raptem zrobiła się Light-Head (lekka głowa), on zaś tym czasem ma Bright sun light (jasne słoneczne światło).

— Bo czyż to nieprawda — dodawał zadowolony ze swej kombinacji nazwisk, całując przytem żonę i pięknego Tadd — wszak mam przyjaciela, a ci dwoje, to już prawdziwe światło mej duszy, prawdziwe słońca mego życia, od których ja, nędzny tylko księżyc [Moon], muszę światła pożyczać i pożyczanem błyszczeć.

A kiedy tak Fred cieszy się swem szczęściem, Cora tymczasem (już rozwiedziona wyrokiem sądu w Oklohama), leży ze złamaną ręką i

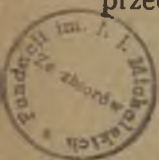
podrapaną twarzą. Był to skutek nieuważnej jazdy: wpadła z kołem pod tramway.

Już zresztą mniejsza o rękę, bo bez tego łatwiej się obędzie, ale o twarz bardzo jej widać chodzi, gdyż co chwila sięga po leżące obok lusterko. A tu jeszcze okrutny doktor straszy ją ciągle że będzie musiała u murzyna pożyczkę zaciągnąć. Ale Cora jakoś nie traci nadziei. Niedawno przecież, korzystając z ogłoszenia w Heraldzie, udała się do wróżki; a ta cudowna dobrodziejka tyle jej pięknych rzeczy naopowiadała, że trudno o przyszłości wątpić. Wprawdzie nie mogła czy też nie chciała wymienić nazwisk, ale Cora się trochę domyśla o kogo tu chodzi. Zamierza więc znów zastawić sidła, ale już z mocniejszej nitki albo znów laso na którego zarzucić.

A jest prawie pewną, że się jej uda złapać jeżeli nie Billy Wodd, jun. to przynajmniej choć małego redaktora. A ten ostatni, zawsze tak samo łaskaw, zdaje się nie byłby od tego, aby za pomocą jej (znacznie już skurczonego) posagu rozszerzyć swój „bicykle business.“

Cora zdaje się to czuje, bo jeśli się nie przegląda w lusterku, to bawi małym kupidyńkiem albo miłosiernie spogląda na czerwoną wstęgą przewiązane owo „Niezrównane koło Fortuny“.

A niech marzy, niech się cieszy. Nadzieja przecież jest matką najliczniejszego potomstwa.



„PRAWDA,”

Pismo tygodniowe dla ludu polskiego w Ameryce,

WYCHODZI W BAY CITY, MICH.,

nakładem W. V. PRZYBYSZEWSKIEGO i Dr. K. ŁASKOWSKIEGO

kosztuje na rok tylko \$1.50.

„Prawda“ redagowana przez Dr. K. Łaskowskiego, b. profesora Seminarium Polskiego, który nauki skończył w Rzymie, drukowana ładnie, opracowana umiejętnie, wierna zasadom wiary św., bezstronna i pisana najrozumialej ze wszystkich pism polskich, — służy ku zdrowej oświacie, uczciwej zabawie, orjentowaniu się w zawiłanych polsko-amerykańskich stosunkach i w ogóle pożytkowi tych wszystkich, którzy czytać umieją lub choćby tylko mogą słuchać czytania.

Podaje wszelkie nowiny zagraniczne, krajowe, miejscowe i ciekawe powieści, oraz popiera samorząd polskich organizacyj.

Drukarnia „Prawdy“, zaopatrzona w parowe maszyny i najnowsze czcionki, wykonuje szybko, tanio i pięknie wszelkie roboty drukarskie.

A.DRES:

The Polish Weekly „Prawda”,

312 Columbus Ave.,

BAY CITY, MICH.

<http://rcin.org.pl>

F
5222